

Rendez-vous z Zofią Kucówną

GŁÓWNIEMiłośniczki talentu Zofii Kucówny wypełniły niedużą, acz gustowną salkę klubu „Akwarium” na lubelskich Czubach.

Przypomniała na wstępie epizod lubelski ze swego aktorskiego życia. A tak, gdyż po dwóch sezonach w krakowskim Teatrze Młodego Widza, przeniosła się właśnie do Lublina. Z wielkim sentymentem wspomina ówczesnego dyrektora Teatru im. J. Osterwy p. Lorentowicza, o którym – jak twierdzi – można bez cienia przesady powiedzieć, że był to człowiek teatru. Jako student KUL

ktos z sali – to kopalnia tematów. Czy po udanym debiucie literackim, książce „Zatrzymać czas”, zamierza pani pisać dalej?

– Namówiła mnie do pisania moja polonistka Mieczysława Romanekówna, a potem Maria Kuncewiczowa, do której posyłałam listy, gdziekolwiek mieszkała – do Kazimierza, do Rzymu. I właśnie p. Kuncewiczowa zachęcała mnie kiedyś: – Zaczynaj pisać, może coś z tego będzie, jakaś książka powstanie. A wtedy, jakże to będzie mile, jeżeli odkryjesz jeszcze ten rodzaj twórczości...

Powiem państwu, bez żadnej

potraktować? Ale – jak widzę wszędzie jesteśmy prowincją!...

– Z pisarstwem pani – odezwał się ktoś z obecnych na sali – zetknąłem się znacznie wcześniej niż powstała książka. Napisała pani onegdaj w „Życiu Warszawy” wspomnienie o cukierniku warszawskim, p. Blicke. Pomyślałem wówczas, jaki ta Kucówna ma talent pisarski...

– Bardzo dziękuję, a z rodziną cukiernik czytała pani jej dziennik. Potem przeniosła się pani do Muzeum Marii Curie-Skłodowskiej, znów w Kazimierzu – do Kuncewiczówki. Z czego wynika owo zainteresowanie wielkimi rodaczkami i jak zrodził się pomysł swoistego teatru biograficznego?

– Lubiałam zawsze literaturę autobiograficzną, a pewnie my wszyscy chętnie sięgamy do bardzo osobistego pisania. I nie chodzi o to, żeby jakieś tajemnice odkrywać. Po prostu nas wszystkich interesuje człowiek. Co więcej – ludzie nie chcą jakby udawania tylko wolać pisanie wprost. I zauważyłam, że wszystkie dzienniki, wspomnienia, autobiografie świetnie nadają się do mówienia. A ponieważ mam taki okres w życiu zawodowym... Nie, powiem wprost. Każda aktorka przestaje kiedyś być osobą młodą, a jeszcze nie taką starą, żeby grać role starych matek czy babek, więc wtedy chce ten pusty czas czymś wypełnić. I tak właśnie wymyślałam swoje własne spektakle, z którymi przemierzyłam Polskę wzdłuż i wszerz. Bó występowałam nawet w gminnych domach kultury. To było wzruszające, jak w momencie, gdy przygotowywałam się do występu, mogłam obserwować podjeżdżające pod dom kultury motocykle, fiaty, polonezy, wozy drabiniaste, rowery...

– A potem, po występie, były nie kończące się rozmowy przy herbacie i ciastach. Pamiętam, jak pewna starsza kobieta nawiązując do spektaklu o Marii Curie-Skłodowskiej, odezwała się takimi słowami: „Patrz pani, patrz pani, to ona myślała, że pracuje dla ludzkości, a ona pracowała na bombę atomową. Może by lepiej było, żeby się taka nie rodziła?”... Zaległa cisza. Wreszcie długie milczenie przerwała gospodyni klubu: „Jak by nie ona wymyśliła, to kto inny by wymyślił...”

– A nie tęskni pani za sceną – dużą, prawdziwą, teatralną?

– Oczywiście, że tęsknię. Od niedawna gram na scenie. Wróciłam do Teatru Małego, ale w sztuce, w której mnie obsadzono, kreuję już nie amantkę, ale bardzo wiekową córkę amantki...

Zanotował:
JANUSZ ŚWIĄDER

Znaleźć swoje miejsce

zarabiał sprzedażą biletów. Potem pełnił coraz poważniejsze funkcje, aż został dyrektorem. Ściągnął młodych ludzi do Lublina, m.in. Halinę i Jana Machulskich, Wiszniewskiego, Gońde...

– Byliśmy, my młodzi – wspomina Zofia Kucówna – mocno przestraszeni, bo zapowiadała się mozolna i odpowiedzialna praca. Ja zostałam obsadzona w „Norze” Ibsena, w roli tytułowej, o której marzy każda aktorka. Ale w teatrze wytworzyła się jakaś dziwna atmosfera. Młodych, nieszczerólnie lubiano, a w stosunku do Lorentowicza część zespołu zaczęła podejmować jakieś działania. W maju 1958 r. Lorentowicz przestał być dyrektorem, zaś na jego miejscu pojawił się Jerzy Torończyk.

Nowy dyrektor zaczął kompletować zespół według własnego uznania i z każdym zatrudnionym w teatrze aktorem przeprowadzał indywidualne rozmowy. Nie powiem, żeby mnie nie lubił, tylko nie przypadły mu do gustu moje ubiory: czerwone pończochy, kostium koloru zupy pomidorowej rozbielonej śmietaną, zielony golf. Troszeczkę się z nim ścięłam w słownej potyczce, więc kiedy mnie poprosił na rozmowę, oznajmił, że nie widzi dla mnie w przyszłym sezonie żadnej roli, a w związku z tym muszę się z Lublinem pożegnać. Nie dostałam wprawdzie wypowiedzenia na piśmie, ale ustne oświadczenie wystarczyło. Rozesałam więc listy do różnych teatrów – do Radomia, Kielc, Białegostoku i na wszelki wypadek napisałam do Teatru Powszechnego w Warszawie. Ówczesna dyrektorka stołecznej sceny Irena Babel, odpowiedziała jako jedyna. Niedługo potem znów zostałam poproszona przed oblicze dyrektora J. Torończyka, który mniej więcej powiedział: – Bardzo panią przepraszam, lecz po namyśle i skontaktowaniu się z różnymi osobistościami doszedłem do wniosku, że jednak bardzo panią potrzebujemy. Nawet widzę panią w roli Pazia w „Marii Stuart”...

Odpowiedziałam z emfazą w głosie: – Bardzo panu dziękuję, ale ja się już zaangażowałam w Warszawie. Rozstaliśmy się nad wyraz sympatycznie. I jak już w Warszawie zaczęło się wszystko pomyślnie układać, postanowiłam posyłać p. Torończykowi każdego roku kwiaty za to, że mi dał wypowiedzenie...

– Pani życie i praca – powiedział



przesady, że po prostu mam szczęście do ludzi. Iluż interesujących ludzi spotkałam i spotykam nadal. Czyżadę o nich napisać? Oczywiście, w dalszym ciągu robię różne zapiski i zeszyty z notatkami, to moi przyjaciele. A czy powstanie jakaś nowa książka? Nie wiem. Ja w każdym razie nie mam obowiązku pisania, w przeciwieństwie do literatów.

– Uderza, przy lekturze pani książki, ogromna delikatność i kultura w podejmowaniu tematów...

– Zapewne wynika to stąd, że ja sama nie lubię pewnego rodzaju zwierzeń i nie sięgam po książki, o których wiem, że został w nich przekroczony pewien próg intymności. Uważam, że w życiu każdego człowieka jest taki obszar tematów, przeżyć, zdarzeń, z którymi nie można się obnosić, tylko zachować dla siebie. Choćby przez szacunek dla osób, z którymi było się związanym, czy przez szacunek dla zdarzeń, które w życiu miały miejsce...

– Wydaje się, że pani po prostu kocha ludzi, bo tak ciepło pisze o swoich bohaterach...

– Nie zawsze, nie zawsze... Ta książka akurat wywołała istną burzę, wręcz niechęć do mnie ze strony Polonii chicagowskiej, której nie omieszczałam wytknąć pewne naganne zachowania. Przesłano mi anonim, czy raczej anonimową recenzję, pisząc, że zszargałam osobistości chicagowskie. Mój Boże, a cóż to za osobistości. Biedni ludzie... A może, rzeczywiście, powinnam ich bardziej uszanować i może nie tak ostro niektórych